

TOMASZ KOŁODZIEJCZAK

Dotyk pamięci

Jest jeden Bóg, który ma dziewięć imion. Każde imię włada swoim ludem, który innym imionom służyć nie może. Dziewięć ludów tworzy jedno ciało Wiernych.

„Biały Zwój, Prawo Kast”

1.

Ciało kota leżące na kolanach Kazziza drżało. Zwierzak co chwila krztusił się, charczał, jego zamglone oczy to otwierały się, to zamykały. Próbował dać znać Kazzizowi, że jest mu tu dobrze i czuje się bezpieczny. Jednak nie potrafił opanować dygotu łap ani nie umiał już wylizać wystrzępionego futra. Ogon, zamiast wychylać się ku górze w kształtny znak zapytania, naprężał się niby rozdeptany wąż. Oronk był stary i zdychał.

Kazziz głaskał jego ciało, czując niemalże, jak z kota uchodzi ciepło żywego stworzenia i jak znika ten drugi rodzaj kociej energii – niemierzalnej aury napętniającej ludzki umysł sennym spokojem.

Przesuwając dłoń wzdłuż giętkiej niegdyś linii kręgosłupa, Kazziz myślał też o tym wszystkim, co oznacza śmierć Oronka. O latach, kiedy zwierzę było posłańcem – niemym i głuchym, nieświadomym swej roli, a jednak przenoszącym muśnięcie dłoni, ciepło, oddech. Pamięć.

Mężczyzna położył Oronka na posłaniu z miękkich poduszek. Dotknął dłonią wiszącego na szyi medalionu. Jak zawsze, gdy przychodził kot, przed oczami Kazziza przesunął się ciąg wizji – wyraźnych, ostrych, atakujących wszystkie zmysły, niczym nagranie z najwyższej jakości holograficznego odtwarzacza.

– Uwważ, Kazzi! Platforma! – w głosie Maraeny słychać było strach. – Platforma jedzie na ciebie!

To mógł być podstęp. Dziewczynka nie potrafiła znaleźć Kazziza od kilku minut. Jako jedyny spośród grających w chowanego dzieciaków zdołał ukryć się przed jej bystrym wzrokiem. Mogła więc użyć fortelu, aby wywabić go z kryjówek. Z drugiej strony, skoro ostrzegała go przed platformą transportową, to musiała odgadnąć, że ukrył się w luku cumowniczym. Z trzeciej strony, dziś był Herez, feralny dzień, w którym nikt nie pracuje, gdyż to obraziłoby Bogów. I to na dodatek sam środek jego najgorszej części, He'r. Żadna platforma nie powinna cumować do portu, bo nikt by jej nie rozładował. Z czwartej strony, na stacji orbitalnej pracowało kilku niewiernych, a ci czasem zapominali o panujących na Regelis obyczajach.

Rozważywszy cztery strony rzeczy, jak nakazuje prorok Gahni w Białym Zwoju, Kazziz wolał pozostać w swojej kryjówce. Siedział więc w walcowatej, ciemnej dziurze, mając za plecami srebrzyste pasma łączy, a przed sobą okrągły otwór, wypełniony zielonym blaskiem nieba. Jednak Maraena nie dawała za wygraną.

– Kazzi, platforma! Proszę cię, Kazzi, wyjdź, gdziekolwiek jesteś!

W jej głosie brzmiało coś dziwnego, coś, czego nigdy wcześniej nie słyszał. Wiedział, że jest sprytna, jednak nie spodziewał się, że tak doskonale potrafi udawać.

– Kazzi, poddaję się. Przegrałam! Nie znalazłam cię!

Nagle poczuł, że się poci. Poddawała się! Więc może... Gdzieś niedaleko rozległ się cichy trzask. We wnętrzu ciemnej komory zadrżało gorące powietrze. Owalny otwór znajdujący się przed oczami Kazziza został przesłonięty przez cień. O Bogowie! To była platforma! Za chwilę jej bufor wsunie się do środka! Ciało Kazziza nie będzie stanowiło żadnej przeszkody dla pojazdu wiozącego wiele ton towarów. Po prostu zostanie rozprasowane na tylnej ścianie. O Bogowie!

Kazziz nie miał czasu na powolne wychodzenie z komory. Odepchnął się nogami i rękami, rzucił się do przodu niby delfin próbujący przeskoczyć przez obręcz. Oślepił go blask zielonego słońca i srebrzysty błysk slotów umieszczonych na buforze platformy.

Poczuł uderzenie w stopę, zakręciło nim tak, że nie zdołał zamortyzować upadku. Z wysokości dwóch metrów runął na betonową rampę. Spróbował wstać, ale poczuł silne szarpnięcie w prawej nodze i upadł na ziemię. Patrzył, jak szara burta platformy zbliża się do jego twarzy.

Coś pociągnęło go za zranioną nogę tak, że zawył z bólu. To coś nie puściło go jednak, tylko szarpnęło znowu. Teraz już skowyczał. Jednak fala bólu na chwilę go otrzeźwiła. Wbił palce w szczeliny między betonowymi płytami, odepchnął się prosto w kierunku źródła swego cierpienia.

Za plecami usłyszał zgrzyt i głucho uderzenie. To platforma dobiła do ściany rampy, a bufor wypełnił komorę sprzęgową. Jednocześnie z drugiej strony dobiegł jego uszu radosny wrzask dzieciaków i głos Maraeny.

– Żyjesz, o, bogowie, żyjesz! Jak mogłeś tam wejść, jak mogłeś mi to zrobić?!

Kłęcząca nad nim. Wysoka, szczupła, śniada. Jej chude, trzynastoletnie ciało przesłaniało niebo. W oczach o tęczykach tak ciemnych, że zlewały się w jedno ze źrenicami, lśniły łzy. Dłoń o wąskich palcach delikatnie gładziła go po głowie.

– Maraena – powiedział cicho. – Nie znalazłaś mnie, wygrałem...

– Tak, kretynie – białe zęby zabłysły w uśmiechu. – Tak, pokonałeś mnie.

Cętkowany kot otarł się o nogi swej pani. Podszedł do leżącego na ziemi Kazziza, stanął tuż przed twarzą chłopaka. Z tej perspektywy kocur wydawał się wielki niczym lampart. Jednak różowa plamka na nosie nadawała mu sympatyczny, niegroźny wygląd. Patrzył na Kazziza przyjaźnie i sprawiał wrażenie zadowolonego. Wreszcie nie był niższy od najlepszego przyjaciela swej pani, wreszcie mógł dotknąć jego twarzy wąsami i sprawdzić łapą to dziwne futro porastające jego głowę.

Czekali godzinę, która Kazzizowi wydawała się wiecznością. Chłopak kilkakrotnie tracił przytomność. Maraena gładziła go po głowie, a inne dzieciaki przynosiły zimną wodę z pobliskiego kranu i polewały zranioną nogę. Mokra nogawka przykleiła się do łydki, a po chwili na płótnie pojawiła się smuga krwi.

Wreszcie minął przekłety czas He'r i lekarze znów zaczęli pełnić służbę. Na szczęście ludzie wykonujący niektóre zawody mogli złamać zakaz pracy w feralnym dniu Herez. Oczywiście musieli to potem odkupić długą modlitwą i postem.

Wycie karetki wdarło się w ciszę portu. Kot odskoczył, prychając gniewnie. Maraena też odstąpiła o kilka kroków. Obok dźwigających nosze lekarzy, ku Kazzizowi powoli kroczyło kilku starych mężczyzn w szatach sług arcykapłana.

•

Wyleczono go w tydzień. W międzyczasie odbyły się procesy strażników i techników odpowiedzialnych za system zabezpieczeń doków transportowych. Po pierwsze, dzieci w ogóle nie powinny móc tam wejść. Po drugie, czujniki nie zareagowały na obecność chłopca w komorze cumowniczej. Po trzecie, prom transportowy wystartował w fatalnym dniu Herez. Winnych bardzo szybko oczyszczono z drobnych zarzutów. Wszak wypadek zdarzył się w części portu nie objętej kontrolą automatyczną, a strażnicy nie mogli pracować w Herez. Elektroniczne zabezpieczenia komory uległy uszkodzeniu rankiem w dniu wypadku, a w tym czasie informatycy z lotniska obmywali się w świętej rzece Kadlish i nie mogli brukać ciał i myśli pracą.

Największym przestępstwem okazał się więc czyn młodego nawigatora ze stacji orbitalnej. Technik ów wysłał na dół automatyczny prom, wiozący kilka platform transportowych, nie przewidziawszy, że pora lądowania wypadnie już w trakcie feralnego dnia Herez i to niemal dokładnie w przekłętą godzinę He'r. Żaden wyznawca Bogów Rzeki nie mógł w tym czasie pracować. Gdyby promy zacumowały prawidłowo, być może nieszczęsny operator naraziłby się tylko na naganę z ust starców. Ale jego błąd miał liczne konsekwencje – młody człowiek z kasty Czystych o mało nie stracił życia, lekarze musieli złamać tabu Herez, a kapłani zostali oderwani od przypadających na ten dzień rytuałów. Ktoś musiał zapłacić za te zbrodnie i tym kimś okazał się Ueldon, dyspozytor promów orbitalnych.

Kazziz był na sali sądowej, kiedy ogłaszano wyrok. Ubrany na biało Ueldon stał w pokoju komunikacyjnym stacji satelitarnej. Ręce miał skrzyżowane na piersiach, brwi ufarbowane na czerwono, a twarz i czaszkę dokładnie wygolone. Powiadomiono go o wyroku. Pół godziny później Ueldon znów pojawił się na monitorze i pokazał zebranym w sali sądowej swoją lewą, teraz czteropalcą dłoń.

– Dokonałem obrzędu. Jestem ukarany.

– Widzimy twą karę. Wybaczamy ci – powiedział Oorus, kapłan-sędzia, rozstrzygający o winach mieszkańców Seheb. – Proszę cię, synu, byś uważał na siebie. Żyjesz z dala od domu, a światło błogosławionego słońca nie wnika w twoje myśli w zwykły, dany nam przez naturę sposób. Zbyt dużo czasu

spędzasz z niewiernymi. Twój grzech wynika z zapomnienia o prawach Zwojów. Jednak jesteś młody i żyjesz we wrogim świecie. Kara, którą ci wyznaczaliśmy, była łagodna, bo wiemy, że nie jest ci łatwo. Bądź wierny, synu.

– Dziękuję za łaskawy wyrok.

Kiedy Kazziz wyszedł z budynku sądu, zobaczył czekającą na niego Maraenę. Dziewczynka ubrana była w niebieską szatę, właściwą dla członków kasty Posłusznych, kiedy wyruszała do ogólnodostępnej części miasta. Na rękach trzymała swego starego przyjaciela, kota Beroja.

– Ukarali tylko Ueldona – powiedział Kazziz, wyciągając przed siebie dłoń. – Kazali mu obciąć sobie palec. O, ten! Myślę, że da się bez niego żyć. W zasadzie, po co ludziom ten palec? Przecież przedmioty i tak trzymamy w pozostałych...

– Skoro Bogowie stworzyli nas z dziesięcioma palcami u rąk – powiedziała Maraena – widocznie tak powinniśmy wyglądać. Co mówią twoi rodzice?

– Na początku bardzo się gniewali. Wyznaczyli mi już pokutę, będę przez dwa miesiące czyścił ściany świątyni Kal-Abar. Da się wytrzymać. Ale już im przeszło. Za to teraz cały czas martwią się o mnie i o moją przyszłość. Wiesz, jak to jest: „Dokąd idziesz, Kazzi?”, „Co będziesz robił wieczorem, Kazzi?”, „Musisz myśleć o przyszłości, Kazzi!”...

– To tak jak moja matka – uśmiechnęła się Maraena. – Czy wszyscy dorośli są tacy sami? Może dzieci przekształcają się w rodziców, tak jak larwy dromaderów w dorosłe osobniki? Larwom znikają czułki i wielkie oczy, a dzieciom znika chęć do zabawy i poczucie humoru. Dromaderom wyrastają dodatkowe nogi i gęste futro, a u rodziców pojawia się nudne zrzędenie i chęć pouczania?

– To nie wszystko – powiedział Kazziz, patrząc w ziemię, na czubki swoich palców wystające z sandałów.

– To nie wszystko, Maraena. Rodzice chcą, żebym przestał spotykać się z dziećmi. I z tobą. Mówią, że mam prawie czternaście lat, wkrótce zostanę przyjęty do kasty. I ty do swojej też, i inne dzieci... Mówią, że powinienem zadawać się tylko z Czystymi, bo wśród nich będę w przyszłości żył i pracował.

Podniósł wzrok, lecz nie odważył się spojrzeć w jej twarz. A może nie chciał? Może wołał patrzeć na jej dziewczęce, kościste, ale już nabierające kobiecych kształtów biodra? Na dłonie o pomalowanych na czerwono paznokciach, zgodnie z regułą jej kasty. Na dwie wypukłości naprężone pod ciasno owijającym ciało płótnem. Może chciał tak na nią patrzeć i przypominać sobie swoje pierwsze sny o kobietach? A może bał się spojrzeć na jej usta, które za chwilę przyznają mu rację. Przecież matka Maraeny na pewno powtarzała te same słowa Zwojów co jego rodzice. Dziewczyna też już skończyła trzynaście lat i wkrótce miała zostać przyjęta do swojej kasty. A to oznaczało, że będą mogli widywać się tylko tu, w strefie wspólnej, na krótko, przy okazji wymagających współpracy zajęć. I rozmawiać ze sobą tylko tak, jak na to przedstawicielom różnych kast pozwalają Zwoje.

Kotu Maraeny, Berojowi, boskie prawa nie przeszkadzały. Zeskoczył z rąk swej pani, podszedł do Kazziza i cicho mrucząc, otarł się o jego nogi.

2.

Tak, Oronk, stary kocie, umierający kocie... Tak mówią Zwoje. Uczą, jak godnie żyć, jak dopełnić przymierza z Bogami, jak odkryć cel i sens istnienia. Wskazują tabu, opisują kary za zbrodnie, podpowiadają, jak radzić sobie w trudnych sytuacjach. Określają rytuały i obyczaje, zapisują naszą przeszłość i mówią o przyszłości. Są osnową naszego ludu, bez nich nie istnielibyśmy. Ale i one nie przetrwałyby bez nas, bo czymże jest święta księga i bóg, który nie ma wyznawców? Więc trwamy w tym wzajemnym uzależnieniu od setek pokoleń, od czasu, gdy nasz lud powstał na starej Ziemi, a potem przywędrował tu, na ten odległy świat.

Jesteśmy odcięci od reszty ludzkiej cywilizacji. Nasi przodkowie wykupili patenty kolonizacyjne Regelis, zdobyli świat, by żyć na nim według reguł spisanych w Zwojach. Te prawa zmusiły Ueldona, aby obciął sobie palec w pokucie za grzech zaniedbania. Te prawa każą piętnastoletnim ludziom wstępować do swych rodzinnych kast, w których popłynie ich dalsze życie. Te prawa nakazują człowiekowi, który znajdzie cię martwego, kocie, dokonać właściwych obrządków, poddać twe ciało mumifikacji i złożyć w piaskach pustyni otaczających nasze miasto-kolonię. Oronk, stary kocie, to ja będę tym człowiekiem.

Czy pamiętasz jeszcze, kiedy ona cię dotykała? Dzisiaj, wczoraj, w zeszłym tygodniu? Ile czasu wlokłeś tu swe stare ciało, by przekazać mi ten dar. Dar pamięci...

Dwa lata po wypadku w porcie Kazziz stał się pełnoprawnym członkiem kasty Czystych. Udał się na pustynię, gdzie przez wiele dni oddawał się medytacjom, nic nie jedząc, a pijąc jedynie czystą wodę. Potem odbyły się uroczystości, w których wzięli udział wszyscy kapłani z Kal-Abar, największej świątyni miasta oraz goście z pozostałych nomów.

Kolonizacja planety rozpoczęła się trzydzieści lat wcześniej, od tego czasu populacja mieszkańców wzrosła z dwudziestu do dwustu tysięcy. Wszystkie kolonistki natychmiast po przybyciu uaktywniły w wylęgarniach

swoje plody, teraz zaś na świat przychodziły urodzone już w naturalny sposób dzieci tamtych, sztucznie poczętych Regelian. Planeta była surowa i jałowa – latem panowały tu upały dochodzące do osiemdziesięciu stopni Celsjusza, zimą, nawet na równiku, mrozy przynosiły minus pięćdziesiąt stopni. Jednak glob obfitował w surowce. Energia słoneczna, chemiczna i jądrowa umożliwiała budowanie domów izolujących ludzi od złowrogięgo świata. Automaty badawcze odnalazły wiele obszarów, gdzie panował przyjazny mikroklimat. Inne parametry także sprzyjały osadnictwu. Ciężenie na Regelis wynosiło osiemdziesiąt procent standardu ziemskiego. Kilka płytkich mórz – zimą zamarzających niemal do dna, a latem parujących prawie całkowicie – łagodziło klimat. Rodzime życie Regelis nie wykroczyło poza etap kolonii jednokomórkowców. Łądy planety na ogromnych przestrzeniach pokryte były zielonymi kożuchami organicznej materii, przechodzącej roczny cykl wegetacyjny. Wiosną rozrastały się, pęczniały, tworząc śluzowatą, zlepiającą piasek płwocinę. Latem te dziwne łąki wysychały, zmieniając się w poszarpaną, delikatną, ciemnozieloną pianę. Jesienią silne wichury darły ją na strzępy i roznosiły po powierzchni całej planety. Tak rozsiane zarodniki umiały przetrwać ostrą zimą i doczekać do następnej wiosny. W okresowych morzach i podziemnych rzekach również pienią się różne formy glonopodobnego życia. Te nieskomplikowane organizmy w ciągu kilku miliardów lat swego istnienia zdołały w procesie fotosyntezy wyprodukować tyle tlenu, że stanowił on dziesięć procent atmosfery Regelis.

Wyznawcy Zwojów zasiedlali kolejne prowincje-nomy, budowali miasta, kopalnie i fabryki żywności. Na orbicie utrzymywano satelitarne centrum łączności z bramą hiperprzestrzenną. Brama znajdowała się bardzo daleko od planety jak na standardy ludzkiej cywilizacji – w odległości ponad czterech parseków. Regelis pozostawała praktycznie odcięta od reszty ludzkiej cywilizacji i jej największej potęgi, Dominium Solarnego.

W czasie ceremonii przyjęcia do kasty, już po próbie głodu, Kazziz został doprowadzony przed oblicze arcykapłana świątyni Kal-Abar. Pokój posłuchań był mały, niski, oświetlały go nie kompaktowe lampy, a płonący w rogu znicz. W komnacie kłębił się dym, wyciskając z oczu Kazziza łzy. Ubrany w czarne szaty starzec siedział na swoim tronie. Na głowie miał diadem, a jego nozdrza, oczy i uszy zasłaniały złote blaszki. W rogach komnaty stali czterej akolici, potężnie zbudowani, łysi, odziani jedynie w przepaski biodrowe. Arcykapłan gestem rozkazał chłopakowi zbliżyć się. Rosochatą dłonią dotknął jego czoła, ust i brody. Potem ostrym paznokciem naciął skórę na piersi Kazziza. Krwią, która wypłynęła z ranki, narysował na lewej piersi chłopca znak węża, na prawej ptaka. Potem znów umaczał palec we krwi i na brzuchu wyrysował symbol oka – znak kasty Czystych.

Dwaj akolici podeszli do chłopca, wzięli go pod ręce i wprowadzili do sali świątynnej, gdzie oczekiwali rodzice, rodziny starszych braci, sąsiedzi i przyjaciele. Teraz stał się jednym z nich. Rozpoczęło się święto. Barwny korowód ruszył w stronę rodzinnego domu Kazziza, gdzie miała rozpocząć się trwająca dwa dni i dwie noce uczta. Oszołomiony chłopak biernie poddawał się wszystkiemu, czego życzyli sobie jego bliscy – śpiewał, tańczył, ścisnął dłonie mężczyźni, całował policzki kobiet.

Nagle wydało mu się, że w oddali, tuż za zakrętem ulicy widzi drobną sylwetkę. Postać obserwowała orszak, lecz gdy zbyt blisko się do niej zbliżył – umknęła. Już po chwili oszołomiony alkoholem i narkotykami Kazziz nie potrafił powiedzieć, czy widział ją naprawdę. Czy Maraena odważyła się przyjść tu, do środka zakazanej dla niej dzielnicy kasty Czystych.

•

Spotkał ją trzy dni później. Właśnie zaczął pracować – wypełniać obowiązek związany z dorosłością. Dzieci wyznawców Zwojów uczyły się do dwudziestego roku życia, jednak ostatnie lata nauki musiały łączyć z pracą zawodową. Kazziz specjalizował się w programowaniu funkcji automatów badawczych. Setki takich maszyn penetrowały całą planetę. Mimo trzydziestu lat ludzkiej obecności na Regelis ogromne obszary globu, szczególnie bardziej odległe od stolicy, wciąż pozostawały mało znane. Automaty przemierzały więc pustynie, szukając przyjaznych nisz klimatycznych, źródeł surowców, nowych gatunków regeliańskiej flory. Maszyny miały dużą autonomię, posiadały programy samouczące i wsparcie stacjonarnych systemów eksperckich, jednak czasami napotykały na przeszkody i zjawiska, z których interpretacją nie dawały sobie rady. Wtedy do akcji wkraczał człowiek.

Kazziz pracował w swoim domu, wszystkie dane docierały do niego przez sieć. W zasadzie pierwsze miesiące pracy też miały być formą nauki – po prostu obserwował działania automatów i analizował decyzje starszych, wysoko kwalifikowanych programistów. Często stawiano przed nim ten sam problem, który musieli rozwiązać jego doświadczeni koledzy. Podejmował samodzielne decyzje, a potem porównywał je z rzeczywistymi działaniami, które zostały zrealizowane w danej sytuacji.

Na trzeci dzień po uroczystościach inicjacji miał wyznaczony termin wizyty w stacji technicznej, gdzie projektowano i remontowano automaty penetracyjne. Baza mieściła się w dzielnicy centralnej, dostępnej dla wszystkich kast.

Kazziz wysiadł z kapsuły transportowej, która dowiozła go na największy plac miasta, otaczający świątynię Kal-Abar. Tam zobaczył Maraenę.

Miała piętnaście lat, a jej uroda zaczęła dojrzewać. W ciągu minionych miesięcy zniknęły kościste biodra i łokcie, całe ciało nabrało smukłej giętkości.

Maraena stała pod posągiem arcykapłana Hatha, pierwszego na tej planecie przewodnika ludu Zwojów. Na rękach trzymała swojego kota, Beroja. Teraz i ona dostrzegła Kazziza, jednak nie ruszyła w jego stronę ani go nie zawołała. Dobrze wiedziała, na co pozwala obyczaj i prawo. On też wiedział.

Szedł ku niej. Obute w sandały stopy miękko plaskały o kamienny dziedziniec, pokryty cienką warstwą białego piasku. Kazziz poczuł gwałtowne bicie serca – a jeśli ktoś ich teraz obserwuje? Jeśli powtórzy kapłanom?

Uspokój się – powiedział do siebie w myślach. – Uspokój się, głupcze. Tylko ty przeszedłeś inicjację, ona jeszcze jest dzieckiem. Możesz do niej podejść i porozmawiać. Z umiarem, jak mówią Zwoje. Ale możesz, wciąż jeszcze możesz!

Dziesięć dni temu, przed obrzędami, rozstali się jako dzieci. Siedzieli na ziemi, tuż obok rampy towarowej. Maraena głaskała starego Beroja, a Kazziz opowiadał jej o planowanej uroczystości, o przygotowaniach i obrzędach. Słuchała go, uśmiechając się lekko, z uwagą, tak jak zawsze. Dziesięć dni temu...

Teraz wszystko się zmieniło, on jest dorosły, ona jest dzieckiem. On należy do kasty Czystych, ona za dziewięć miesięcy wstąpi do kasty Posłusznych. Na razie wciąż jeszcze może do niej podejść i porozmawiać. Prawie poczuć dotknięcie jej skóry. Już niedługo.

Szedł w stronę dziewczyny i nagle nabrał nieprzemyślanego przekonania, że Maraena stoi tu od rana, że była tu również wczoraj i że gdyby nie przyszedł dziś, to czekałaby na niego i jutro, i pojutrze. Poczul wyrzuty sumienia, że uroczystości i nowa praca tak zaprzętnęły jego uwagę, że odsunął w pamięci obraz Maraeny. Jednocześnie postępowanie dziewczyny, sprawiło mu radość, przyniosło poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

– Cześć, Maraena – starał się mówić normalnie, tak jak zawsze. Wyczuła, że jest spięty, że nowa społeczna relacja, jaka wytworzyła się między nimi, odbiera mu swobodę. Zawsze potrafiła odgadnąć jego uczucia, wahania i wątpliwości.

– Witaj, Kazzi – powiedziała cicho. – Jak to dobrze, że jesteś.

– Musimy przestrzegać protokołu.

– Pamiętam – uśmiechnęła się smutno. – Wiesz, Beroj znów choruje.

Kazziz spojrział na kota. Zwierzak nieruchomo leżał na rękach dziewczyny, zamknąwszy oczy i podkuliwszy ogon.

– Śpi dobrze, przynajmniej tak wygląda... – Kazziz próbował pocieszyć Maraenę.

– Dostał lekarstwa, to coś z żołądkiem, chyba nowotwór...

Kot Beroj był przyjacielem ich zabaw, odkąd Kazziz pamiętał. Chodził za Maraeną wszędzie. Kiedy wokół gromadziło się zbyt dużo hałaśliwych dzieciaków, dyskretnie znikał w okolicznych zaroślach lub piwnicach. Jednak kiedy tylko Maraena ruszała z powrotem do swojej dzielnicy, Beroj pojawiał się nagle i cicho, jak to kot. Żądał wzięcia na ręce i odtransportowania do domu. Kazziza polubił, pozwalał mu się głaskać i przytulać, chętniej nawet niż kotka Kazziza – Breda. Na inne, skore do pieszczoł dzieciaki, prychnął – spokojnie, ale z jednoznaczną determinacją: „Nie podchodź, jeśli nie chcesz obierać dłoni z mięsa jak pomidora ze skórki!” Zazwyczaj to wystarczało.

Beroj wyraźnie się postarzał. Mau – święte koty wyznawców Zwojów, czczone i otoczone szacunkiem, to rasa genetycznie wzmocniona. Dożywają nawet trzydziestu lat, jednak i na nie przychodzi czas, często skrócony przez różne choroby. Beroj dawno już pożegnał się z młodością.

– Kocham cię – powiedział Kazziz, czując w gardle szorstką kulę strachu. Miłość do dziewczyny z innej kasty. Wyznanie tej miłości. To nie mieściło się w dozwolonym protokole. Zaczynało być niebezpieczne. A jednak powiedział.

– Też cię kocham, Kazzi. Ale ty odchodzisz – Maraena wskazała na kota – i on też mnie zostawia.

Od tamtego dnia spotykali się niemal codziennie. Szukał pretekstów, by wypuszczać się z domu do dzielnicy centralnej miasta. Odwiedzał biura konstrukcyjne, obserwował załadunek i odloty promów z nowymi lub wyremontowanymi automatami badawczymi, pracował jednocześnie w kilku zespołach problemowych. Ta aktywność zyskała mu uznanie przełożonych i starszych kolegów. Znał się na swojej robocie i wkrótce przestali traktować go jak młodego zdolnego. Mimo nie ukończonych siedemnastu lat, stał się pełnoprawnym członkiem zespołu programistów. Dzięki temu zyskał kolejne preteksty do opuszczania dzielnicy kasty Czystych. Brał udział nie tylko w pracach badawczych. Jako członek gildii naukowej musiał uczestniczyć w posługach i uroczystościach religijnych, a także w zwykłych spotkaniach towarzyskich urządzanych dla członków stowarzyszenia. Kazziz odwiedzał centralną dzielnicę cztery, pięć razy w tygodniu.

A tam zawsze czekała na niego Maraena.

Czasami rozmawiali, nie kryjąc tego: w parku czy na centralnym placu miasta. Kodeks nie zakazywał przypadkowych spotkań, choć wydawały się one nieco sprzeczne z dobrymi obyczajami. Jednak na taką beztroskę nie mogli sobie pozwolić zbyt często. Wynaleźli więc wiele sposobów na to, by móc się spotkać choć na chwilę, zobaczyć z daleka, powiedzieć do siebie kilka słów. Umawiali się w wielkiej hali sklepowej, na torze wyścigów wielbłądów, w tłumie odbywającym religijne ceremonie – wszędzie tam, gdzie było wielu ludzi, gdzie spotkanie wyglądało na przypadkowe. Mimo tej ostrożności Kazziz nie wątpił, że wiele par oczu widziało ich razem zbyt często. Czy dwoje ludzi zdoła się ukryć w mieście liczącym sto tysięcy mieszkańców? Szczególnie, gdy razem przebywać mogą tylko na obszarze zajmującym jedną dziesiątą całej aglomeracji – bo taką mniej więcej powierzchnię miała dzielnica centralna.

Dni mijały, przynosząc codzienne dawki pracy, radości i kłopotów. Breda była kotna. Zbliżał się dzień awansu chłopaka na samodzielne stanowisko operatorskie. Nadciągała regeliańska zima, a z nią wielkie mrozy i wichury. Ale co najważniejsze i najstraszniejsze zarazem, każdy dzień przybliżał Maraenę do szesnastej rocznicy urodzin, dnia kastowej inicjacji.

Kasta Posłusznych miała zyskać nową kobietę, zdrową, piękną i mądrą, pracującą jako biolog na żywnościowych stacjach hodowlanych. Kazziz, programista z kasty Czystych, miał ją stracić na zawsze.

3.

Kazziz wstał z postania, na którym leżał stary kot. Ze ściennej szafki wyjął oznaczoną czerwonymi napisami tubkę. Podeszedł do Oronka. Wycisnął na palec odrobinę zielonej maści. Prawą dłonią musnął głowę kota, a potem posmarował bok jego pyska.

Oronk otworzył oczy, drgnął. Ogon naprężył się, a potem wygiął miękko i pięknie, jak za dawnych czasów. Zapach maści wyraźnie pobudził kota. Zwierzak obliznął wargę zbiałym językiem, ściągając do pyska jak najwięcej ożywczej substancji.

„To narkotyk, kocie, łgarstwo. Przynosi smak i siłę, ofiarowuje przyjemność i chwilowe zapomnienie. Pozwala czuć sytość, choć tak naprawdę zdychasz z głodu. Daje radość, choć powinna cię właśnie pożerać rozpacz. Oszustwo. Jakże małe jest jednak to biochemiczne kłamstwo wobec łgarstw budowanych przez nasze własne, zdrowe i sprawne, umysły. Oszustwo, złudna nadzieja, chwila zapomnienia, dreszcz rozkoszy... Dawkujemy je sobie, ale potem zawsze musimy wrócić do prawdziwego świata, tak jak ty wkrótce powrócisz z narkotycznego snu.

Jak dawno to było, kocie? Przez ile lat głaszczę cię tak jak ona i nic więcej nie mogę zrobić? Trzydzieści trzy? Trzydzieści cztery? I tak jesteś dzielny, kocie. Podałaś nam kilka lat więcej, niż mogliśmy się spodziewać...”

•

Rozpacz, szaleństwo i kara. Wszystko stało się nagle.

Do inicjacji Maraeny pozostały tylko dwa tygodnie. Widywali się rzadko, bo jej czas pochłaniały długie modlitwy, nocne czuwania w świątyni i szycie stroju. Wokół dziewczyny kręciło się wiele osób – kobiety z rodziny, kapłani, przyjaciółki. Niewielka była szansa, że zdoła niepostrzeżenie wymknąć się na spotkanie.

Kazziz cierpliwie przychodził do dzielnicy centralnej, niemal codziennie spacerował po wielkim placu, udając, że dokonuje jakiegoś pokutnego obrzędu między pomnikami kapłanów i Bogów.

Poprzedniej nocy płakał.

Religia była fundamentem ich społeczności. Zwoje odnalezione w ruinach ostatniej świątyni starej wiary, na wyspie File, zawierały wizję świata i praw nim rządzących. Ostatni egipscy kapłani, szaleni prorocy, obserwujący zagładę swej tysiącletniej cywilizacji, podjęli próbę zrozumienia tego, co dzieje się wokół. Oto ich świat odchodził w niebyt, a przecież wydawał się niezniszczalny, wieczny. Świątynie ich wiary i grobowce dawnych królów były wszak starożytnością już dla Greków i Rzymian, narodów, które w historii same są określane mianem „starożytnych”. Pokolenia ciemnoskórych kapłanów obserwowały rytm odradzającego się świata – potęgę i upadek władców, zwycięstwa faraonów i najazdy obcych armii, lata urodzaju i głodu. A jednak świątynie z piaskowca, niebosiężne piramidy, pradawne mity i Rzeka trwały niezmiennie. Lecz oto przyszli nowi barbarzyńcy, ze swą dziwną religią, która zawładnęła Cesarstwem i zniósła dawnych Bogów. Jedna po drugiej padały świątynie, wyznawcy odwracali się od swych patronów, a kapłanów wypędzano lub zabijano. Ostatnia świątynia Izydy przetrwała na wyspie File. Tam też dwaj natchnieni, bezimienni kapłani spisali Zwoje – obejmując jedną myślą prawdy gasnącej religii i przepowiadając nadejście proroka, który przywróci wierze dawną siłę. Ukryli Zwoje w podziemnej krypcie, a sami najprawdopodobniej zginęli z rąk fanatycznych chrześcijańskich mnichów. Zwoje przetrwały. Minęły

dwa tysiące lat, nim odnalazł je prorok, nowe wcielenie Tota Trismegistosa. Odnowił obrzędy i zaczął głosić słowo Bogów, zapisane w Zwojach.

Wierni przetrwali prześladowania z czasów solarnych Wojen Wewnętrznych, kult nie zniknął w wieku Światów Wirtualnych, świątynie wykorzystaly Dekadę Eksodusu. Pół wieku temu kapłanom udało się kupić patenty kolonizacyjne na Regelis. Wyznawcy Zwojów budowali też świątynie na wielu innych, zasiedlonych przez ludzi Obcych globach.

Religia, tradycja i obyczaje dawały ludziom siłę, pomagały zrozumieć świat, wzmagaly poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa. Stworzyły Kazziza takiego, jakim był. Zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że podda się regułom i że Maraena też to zrobi. Ta świadomość odbierała mu sen i apetyt, uniemożliwiała koncentrację na pracy, sprawiała, że w kontaktach z rodziną stał się mrukliwy, wręcz opryskliwy.

Jednak w końcu zobaczył Maraenę, chociaż stracił już nadzieję. Po kilkunastu dniach rozłąki, po długich godzinach samotnych wędrówek, wypatrywania znajomej sylwetki, odwracania się na każdy kobiecy głos, wreszcie ją zobaczył.

Szła powoli w jego stronę, pomarańczowa tunika, przynależna dziewczętom tuż przed inicjacją falowała na jej ciele w rytm kroków. Czarne, proste włosy opadały na policzki, długie rzęsy osłaniały oczy, cienkie wyskubane brwi zakreślały łagodne łuki. Powieki miała pomalowane na niebiesko, a usta jasnoczerwone, wręcz pomarańczowe. Te ostre barwy jaskrawo kontrastowały z jej ciemną karnacją i czarnymi oczami.

Kiedy podeszła bliżej, Kazziz zobaczył, że Maraena płacze. Miała zaciśnięte wargi, jej głową wstrząsały spazmy szlochu.

Zaraz rozmaże sobie makijaż – pomyślał. – Zaraz ludzie zbiegną się wokół, pytając, dlaczego płacze, skoro ma na sobie barwy radości. O Bogowie, dlaczego ona płacze?!

Stała naprzeciw niego w odległości dwóch kroków. Milczała zaciskając wargi. Wpatrywała się w jego twarz, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół.

– Co się stało, maleńka? – spytał spokojnie.

– Beroj umarł. Rano. Ojciec już zmumifikował ciało i zakopał na pustyni. Nie ma Beroja.

– Był chory, stary – zrobił krok w jej stronę. Wiedział, że wypowiada te wszystkie okropne, bezsensowne zdania, którymi próbuje się pocieszać ludzi rozpaczających po śmierci swych bliskich. – Cierpiał. Teraz już go nie boli.

– Nie ma go – powiedziała cicho, do siebie, jakby w ogóle nie słuchała słów Kazziza. – Nie ma Beroja.

– Koty żyją krócej niż my.

– Ale ty nie żyjesz krócej niż ja – ocknęła się z letargu, na jej twarzy pojawił się grymas złości, a może udreki. – Urodziłeś się tylko dziewięć miesięcy przede mną. A jednak też odchodzisz. Dlaczego? Dlaczego kiedy przejdę inicjację, nie będę mogła z tobą rozmawiać? Dlaczego pozwolą mi opuszczać moją dzielnicę tylko w wyznaczone dni?

– Jesteś z kasty Posłusznych!

– A ty jesteś z kasty Czystych, tak, tobie wolno! – nagle zorientowała się, że jej smutek przeradza się w gniew skierowany na Kazziza. – Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam. To jest takie okropne...

– Wiem, co czujesz, Maraeno.

Milczała. Spojrzała na zegarek.

– Zbyt długo rozmawiamy. Musisz iść. – Nie drgnął, choć wiedział, że Maraena ma rację. – Idź, proszę, odwróć się i odejź. Nie spotykajmy się tu więcej. To niedobre, to niebezpieczne. Idź, Kazzi, odwróć się i odejź, bo ja nie potrafię... .

Odszedł, nie patrząc za siebie ani razu.

W pracy o mało nie doprowadził do katastrofy, wysyłając automat zwiadowczy na zbyt cienki lód. Pod ciężarem urządzenia zmarzlina pokrywająca płytkie morze zaczęła pękać. Kazzizowi w ostatniej chwili udało się wyprowadzić maszynę na suchy ląd. Opiekun-przełożony pogratulował dobrej akcji ratowniczej, a potem udzielił nagany za kardynalny błąd. Na koniec powiedział, że Kazziz chyba jest dziś chory i odesłał go do domu.

Nie minęło jeszcze regeliańskie południe.

•

– Kazzi, Kazzi! – już na progu domu wesołym okrzykiem powitała go Zani, młodsza, siedmioletnia siostra. – Bogowie nam błogosławią. Breda urodziła małe! Pięć kociaczków! Wszystkie żyją, chcesz zobaczyć?

– Chcę – Kazziz wziął siostrę za rękę i razem poszli do kociego pokoju. Poczul dziwny zapach, słodki i mdlący, kojarzący się i z czymś miłym, i z salą operacyjną. Zmęczona Breda leżała na prawym boku. Miała zamknięte oczy i półotwarty pyszczek z lekko wysuniętą końcówką różowego języka. Przy jej brzuchu

gramoliło się pięć puszystych kulek. Popiskując i prychnając, walczyły o dostęp do matczynych sutków. Każdy kotek uważał zapewne, że tylko on jeden ma prawo napełniać sobie brzuszki ciepłym mlekiem.

Transgeniczne koty mau rodziły się dojrzałe niżli ich naturalni przodkowie. Kocięta nie były ślepe i od razu potrafiły chodzić. Teoretycznie mogły prowadzić samodzielne życie, jedząc to, co i dorosłe koty. W praktyce przez kilka dni szczególnie chętnie przebywały w pobliżu matki i ssały mleko z wyraźnie większą przyjemnością niż jadły inne potrawy.

Widok kociąt nieco uspokoił Kazziza. W miocie były dwie samiczki i trzy samce – piękne, smukłe, o miodowym futrze pokrytym brązowymi cętkami. Jeden z kotków miał na nosie dziwnie znajomą, różową plamkę.

– Zobacz, zobacz, Kazzi – siostra wskazała palcem właśnie na niego. – Ten jest podobny do Beroja Maraeny! Może to jego synek?

– A tamten jest podobny do kota Honnów z naprzeciwnka. Może to synek tamtego? – uśmiechnął się.

– Możliwe, całkiem możliwe – Zani zadumała się nad taką kombinacją, przypominając sobie strzępy tych wszystkich wiadomości, których w zasadzie jeszcze nie powinna znać. – Czyli ten jest synkiem Beroja, a tamten Hon-honka. A trzy pozostałe?

– Przypatrz się im i spróbuj zgadnąć – pogłaskała siostrę po głowie. Pochylił się i wziął berojopodobnego kotka na ręce. – Już im dałaś imiona?

– Mam je na razie na etapie wstępnych projektów – dziewczynka dumnie się wyprostowała. – Ale tego już nazwałam, jeśli cię to interesuje.

– Mnie? – zawiesił głos. – W ogóle. Całkowicie i absolutnie mnie to nie interesuje.

– To ci nie powiem! To ci nie powiem! – zaczęła krzyczeć, sprawiając, że kocięta mocniej przywarły do ciała matki, która raczyła wreszcie otworzyć jedno oko. Sprawdziwszy, że hałas powoduje mała Zani – stanowiąca w otoczeniu kotki najczęstsze źródło głośnych, ale bezpiecznych dźwięków – znowu zapadła w drzemkę. Maluch w dłoniach Kazziza zaczął cicho popiskiwać, groźnie szczerząc igiełkowate ząbki. Był ciepły i mięciutki, Kazziz czuł na skórze szybkie bicie jego małego serca.

– Albo powiem – zdecydowała Zani. – Nazywa się Oronk.

Rozmowę przerwał im głośny okrzyk, dobiegający z rodzicielskiej części domu. Ojciec wzywał Kazziza. Skoro przywoływał go do siebie, a nie wychodził do wspólnych pokoi, szykowała się trudna rozmowa. Kazziz od razu domyślił się, o co czy też o kogo chodzi. W jednej chwili prysnął spokój wywołany spotkaniem z siostrą i kociakami. Odkładając Oronka do reszty rodzeństwa, Kazziz znowu miał przed oczami twarz Maraeny.

•

Tego samego dnia wieczorem Kazziz wyszedł z rodzinnego domu. Był wściekły, przerażony i smutny. Nie miał konkretnego celu wędrówki, choć jego rodzice myśleli zapewne, że idzie do baru dla młodych, nieżonatych mężczyzn. Rodzice sądzili, że w takim miejscu, gdzie można było skosztować delikatnych erotycznych symulacji wirtualnych, lekkich narkotyków i ciężkiego alkoholu, ich syn zapomni o swoich kłopotach. Najpierw na kilka godzin, potem na zawsze. Jednak zdenerwowany chłopak nie poszedł do baru – skierował się w stronę doków, gdzie razem z Maraeną spędzili kiedyś wiele dni.

Ojciec uznał, że czas najwyższy przywołać syna do porządku. Najpierw go spoliczkował, żeby pokazać, jaki jest niezadowolony. Nie bił mocno, ale Kazziz boleśnie odczuł każde uderzenie. Był dobrym dzieckiem, na dodatek zawsze traktowanym przez rodziców po partnersku. Bito go rzadko. Ostatni raz ojciec spoliczkował go przed wieloma laty za jakąś zbyt ryzykowną psotę. Teraz jednak potraktował Kazziza jak smarkacza – i to bolało chłopaka bardziej niż same uderzenia.

– Jesteś już dorosłym mężczyzną – powiedział ojciec spokojnie, chociaż Kazziz wyczuł w jego głosie wzburzenie – a zachowujesz się niegodnie, łamiesz obyczaje i narażasz swoją rodzinę na wstyd. Matka nie chce dziś na ciebie patrzeć. Nie przyjdzie tu nawet po to, żeby cię uderzyć, choć, na Bogów!, obydwaj wiemy, jak bardzo na to zasługujesz. Przyjmij to jako wielki znak jej gniewu.

– W czym zawiniłem, ojcze?

– W czym zawiniłeś?! Śmiesz mnie o to pytać?! Masz mnie za głupca?! Czy siebie?! Spotkałeś się dziś z kobietą, właściwie z dzieckiem z kasty Posłusznych. Rozmawiałeś z nią długo, zdecydowanie za długo jak na przypadkowe spotkanie i wymianę pozdrowień. Możesz się z nią witać, bo się znacie, tak nakazuje kultura i obyczaj. Ale ty spędziłeś z nią dużo czasu. Dziś i dwa tygodnie temu, i wcześniej, wiele, wiele razy. Nie próbuj zaprzeczać! Zhańbiłeś siebie i swoją rodzinę, ale też Maraenę i jej bliskich. Co kapłan ma powiedzieć ojcu prowadzącemu swą córkę ku inicjacji, proszącemu dla niej o łaskę i pomyślność? Ze jego dziecko spotyka się z dorosłym mężczyzną z kasty Czystych? Ze nie zerwała dziecięcej znajomości, tylko rozmawia z nim, łamiąc nasze prawa!

– Prawo nie zabrania rozmów!

– Milcz! Bogowie zabraniają, obyczaje zabraniają, ja zabraniam! Teraz nie potrafisz powstrzymać swoich uczuć i odciąć się od świata dziecięcych rojeń. Prawo pozwala ci ją widywać, powiadasz, więc ją widzisz. Tak, prawo pozwala! Ale obyczaj każe ograniczyć te kontakty. Opanować uczucia nie dlatego, że są zabronione, tylko dlatego, że taka jest twoja wola. Prawa są ważne. Święte księgi mówią prawdę. Lecz nic Bogom nie przyjdzie z twych dobrych uczynków, jeśli czynisz tak nie z własnej woli, a jedynie ze strachu przed prawem! Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak, ojcze...

– To nie wszystko, to jeszcze nie wszystko. Pewnie myślisz: czemu prawo pozwala, a obyczaj zakazuje? Dlaczego nie ma tu zgody? Wiem, wielu młodych zadaje sobie to pytanie. Odpowiem ci: każdy młody człowiek potrzebuje czasu, by nauczyć się, jak żyć dobrze i sprawiedliwie. Dlatego jeśli dziś nie powstrzymasz się z własnej woli, co najwyżej narazisz na wstyd siebie i swych bliskich. Ale jeśli nie nauczysz się panować nad pragnieniami, to później, gdy zacnie obowiązywać nie obyczaj, a prawo, narazisz się na wielkie niebezpieczeństwa. Znowu zaczniesz folgować słabościom. W tajemnicy, w ukryciu popełnisz dawne występki. Będziesz żył w strachu, a jednak wciąż będziesz ulegał pokusom. I wtedy narazisz się na prawdziwą karę. Gdyż żaden zły uczynek nie pozostaje bez pomsty Bogów – i tu, i w pośmiertnym świecie Dat.

Rozmawiali długo. W końcu ojciec jeszcze raz spoliczkował Kazziza na znak, że mocno się na niego gniewa i że rozmowę uważa za bardzo ważną. Potem jednak uśmiechnął się i powiedział:

– Mam też dla ciebie dobrą wiadomość. Wybraliśmy już z matką dziewczynę, która zostanie twoją żoną. Rozmawialiśmy z jej rodzicami i oni się zgodzili. Jutro wspólnie pójdziemy do nich, by podpisać ślubny kontrakt. Twoja naręczona ma dziewięć lat, więc będziesz miał jeszcze sporo czasu bez ojcowskich obowiązków: na naukę i karierę zawodową. Co za wspaniała sytuacja! Nim skończysz dwadzieścia jeden lat, ożenisz się i założysz rodzinę. Niech Bogowie mają ją w opiece!

Nie dyskutował z ojcem, nie przekonywał, nawet nie spytał, kogo mu wybrali. W sąsiedztwie mieszkało wiele dziewięcioletnich dziewczynek. Nie znał ich, bo zadawał się raczej ze starszymi. Na dodatek bawił się głównie w centrum, gdzie wiele czasu spędzał z Maraeną i znajomymi z innych dzielnic. Takie było prawo: młodzi powinni poznawać przedstawicieli pozostałych kast, by nauczyć się, że to także ważni i godni szacunku członkowie ludu Zwojów. Lecz kiedy dzieci wstępowały do kast, obowiązywała je separacja od dawnych przyjaciół i znajomych, a wzajemne kontakty mogły odbywać się tylko wedle opisanych w kodeksach protokołów.

Kazziz przez chwilę pomyślał o tej dziewięcioletniej dziewczynce. Czy już wie o kontrakcie ślubnym? Czy słyszała o nim, Kazzizie? Czy jest dumna z jego kariery i czy opowiada o nim koleżankom? A może, tak jak on, jest przerażona? Może nie chce go widzieć i boi się przyszłości? To przecież tylko mała dziewięcioletnia dziewczynka...

Tamtego wieczora Kazziz dotarł w końcu do portowych doków. Zmierzchało. Na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy, lecz żaden z trzech księżyców, „ludzi o twarzach bez oczu”, nie rozpoczął jeszcze swej wędrówki. Za to dokładnie nad głową Kazziza jaśniał czerwonożółty punkt – wisząca na wysokości stu tysięcy kilometrów orbitalna baza kosmiczna.

Kazziz spojrzął na czerniejący w mroku kontur rampy wyładunkowej. To tutaj bardzo często spotykał się z innymi dziećmi i z Maraeną. Na tej właśnie rampie o mało kiedyś nie zginął.

Kazziz ukląkł, usiadł na piętach, położył dłonie na kolanach i zamknął oczy. Nie bacząc na ciągnący od ziemi chłód, trwał niemal w bezruchu. Aby uspokoić myśli, zaczął odmawiać modlitwę do Boga Światła. Miarowe, rytmiczne słowa tworzyły w umyśle chłopaka dziwną melodię, powtarzaną dziś tak samo, jak cztery tysiące lat temu, w starożytnych świątyniach. Kiedy dobiegł do końca modlitwy, zaczął ją jeszcze raz, od początku. Potem znowu i znowu, aż w końcu zgubił rachubę i zatracił poczucie czasu. Ogarnął go chłód nocy i zdawało mu się, że poprzez zamknięte powieki dostrzega jasne światło pierwszego z księżycowych wędrówców.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Miękkie, ciche – znajome. Przed nim stała Maraena. Wstał i podszedł do dziewczyny, w głowie wciąż kołatały mu rytmiczne słowa modlitwy. Maraena objęła Kazziza, przytulając twarz do jego piersi. Zaczął ją głaskać po włosach, muskać ustami kark i szyję. Jego dłonie stały się dwoma istotami, głodnymi ciepła jej ciała.

Modlitwa, która potem nastąpiła, miała inny rytm niż tamta, powtarzana w myślach litania, lecz była równie pochłaniająca i wszechogarniająca. Maraena krzyknęła bardzo cicho.

•

Okrzyki ludzi pod oknami rodzinnego domu Kazziza były przesycone gniewem. Obudziły chłopaka następnego ranka, gdy po krótkiej nocy we własnym łóżku, nocy pełnej wspaniałych wspomnień, ale i strachu, wreszcie zdołał usnąć.

Kapłani, zarówno z jego dzielnicy, jak i niosący znakinumina kwartału Posłusznych, stali przed drzwiami domu i pokrzykiwali na ojca. Za nimi gromadził się tłum zaciekawionych, wzburzonych ludzi. Ojciec próbował coś tłumaczyć, lecz gdy dotarły doń słowa kapłanów, zaniemówił z wrażeń. Odstąpił od drzwi wejściowych i spojrzał w stronę okna sypialni syna. Kazziz nie potrafił wtedy powiedzieć, jakie uczucie malowało się na twarzy ojca. Ale ten grymas pamiętał do dziś. Kapłani i strażnicy prawa wbiegli do domu, po chwili dobijali się do sypialni. Ledwie zdążył założyć przepaskę biodrową, gdy wpadli do środka. Brutalnie chwycili go za ramiona i wywlekli na ulicę. Pokrzykując, popychając go i szturchając, ruszyli w stronę świątyni sądów.

4.

Oronk, przyjacielu, jak mogę ci się odwdziżyć? Byłeś postaćem, choć nigdy nie przeniosłeś ani jednej kartki, nagrania czy zdjęcia. Po prostu byłeś tu i tam. Dotykały cię jej i moje dłonie. To wszystko, co mogliśmy mieć.

Pozwolili na to, bo prawo nic nie mówiło o takiej sytuacji. Na dodatek jesteś kotem. Mój lud czi wiele zwierząt, choć na Regelis żyje jedynie kilka gatunków przywiezionej tu z Ziemi fauny. Tylko kotów jest wiele, bo kot to najważniejsze zwierzę naszej wiary, cząstka pierwotnej materii Nu, wydzielona od rzeczywistości skórą i futrem, przenosząca pradawną energię. Gdybyś był ibisem lub psem, może próbowaliby cię powstrzymać. Nie odważyli się jednak tknąć kota, o pięknym cętkowanym futrze, kształtnej mordce i śmieszonym różowym znamieniu na nosie. Przecież wiedzieli, że kiedyś skończą się twoje wędrówki. I że wtedy, dzisiaj właśnie, zacznie się najstraszniejsza część wyroku.

•

– Mój syn złamał prawo. Musi ponieść karę. Ale to ona swą grzeszną młodością ściągnęła hańbę na nasz ród. To ona wyczekiwała na niego w środku miasta, to ona odrywała go od pracy, to ona wykorzystywała każdą okazję, by wzbudzić w jego sercu uczucie. Żądam surowego ukarania mego syna, a ją musimy wygnąć z miasta. Jest pohańbiona!

– Moja córka złamała prawo. Musi ponieść karę. Ale to on swą niepohamowaną żądzą ściągnął hańbę na nasz ród. To on szukał jej zawsze, gdy był w mieście, to on zamiast pracować, spacerował z nią po ulicach, to on, dorosły i odpowiedzialny, nie pozwolił jej zapomnieć o sobie. Żądam surowego ukarania mojej córki, a jego musimy wygnąć z miasta. To grzesznik!

Mówili rodzice i sędziowie, mówili kapłani i wychowawcy, mówili koledzy z pracy i przyjaciele. Mówili wszyscy. Kazziz nie zdawał sobie sprawy, ilu ludzi ich obserwoowało, jak wielu bliskich znajomych rozmawiało o nich z kapłanami, jakie rozterki dręczyły rodziców, świadomych dziwnego zachowania dzieci.

Ich wina była wielka, wiedział o tym.

Nie otrzymali boskiego i rodzicielskiego błogosławieństwa, a mimo to połączyła ich miłość cielesna. To występki, ale takie przypadki zdarzały się często. On był już dorosły, a ona jeszcze nie. To przewina, ale Maraena była na tyle dojrzała, że nie popełnił przestępstwa. Wyznali sobie miłość, mimo że obydwoje mieli już wyznaczonych przyszłych małżonków. To grzech, ale można go było odkupić ciężką pracą dla społeczności, postem w świątyni, modlitwą i błaganiami o przebaczenie.

Jednak ich zbrodnia polegała na tym, że wszystko to nastąpiło pomiędzy ludźmi z różnych kast. Że wielokrotnie łamiąc obyczaje, czego kulminacją stała się tamta noc, wystąpili przeciw społeczeństwu, zaatakowali jego strukturę, naruszyli wewnętrzną spójność.

– Co się stanie – krzyczał kapłan-sędzia – gdy każdy powie: mogę to zrobić! Gdy słowa Bogów zapisane w Zwojach, gdy mądre reguły określone przez przodków, gdy sprawdzone na przestrzeni wieków obyczaje zaczną być podważane i lekceważone! Kim staniemy się za dwadzieścia lat, jakie spoiwo połączy nasze dzieci, kto zechce służyć nieistniejącym wartościom?! Kara, która was dotknie, będzie surowa. Będzie właściwą odpłatą za wasz straszny czyn! Będzie przestrożą dla innych! Lecz i wam przyniesie ukojenie, bo poddając się jej, przywrócić honor rodzinom. Pamiętajcie też, że wciąż pozostajecie dziećmi Zwojów, że Bogowie czekają na wasze myśli, że zaznając kary, jesteście pełnymi członkami naszej społeczności.

Kazziz siedział na sali sądowej otępiały i ogluszony – liczbą oskarżycieli, gniewem ojca i matki, nienawiścią rodziców Maraeny, a przede wszystkim krzywdą, jaka na nią spadnie za jego słabość. W czasie procesu ani razu się nie zobaczyli. Obydwoje siedzieli w szczelnych klatkach jednoprzepuszczalnego pola. Mogli oglądać salę sądową, lecz ich nikt nie widział. Dopóki nie zostanie wydany wyrok, dopóty każdy, kto

na nich spojrzę, porozmawia z nimi lub ich dotknę, straci czystość. Prawo złamania tego zakazu mieli jedynie najbliżsi krewni, przesłuchujący kapłani-sędziowie i strażnicy prawa.

Wygnanie na pustynię musiało zakończyć się śmiercią. Choć skazańców zaopatrywano w żywność, przetrwanie regeliańskiej zimy poza miastem było niemożliwe. A wywożono ich na tak odległe, bezludne tereny, że nie byli w stanie dotrzeć do zasiedlonych nomów. Tak karano morderców, gwałcicieli i świętokradców. Kazziz wiedział, że nic nie stoi na przeszkodzie, by jego i Maraenę zaliczono do tej ostatniej grupy. Myśl, że dziewczyna znajdzie się sama na piaszczystym, pokrytym zielonymi glonami pustkowiu, pośród skał i lodu, przerażała Kazziza tak bardzo, że nie czuł żadnego strachu o własny los.

– Jutro zostanie wydany wyrok – powiedział kapłan-sędzia. – Dziś niech rodziny zabiorą tych dwoje do domów. Niech ich dobrze nakarmią, niech oddadzą się wspólnej modlitwie. Jutro rano przyprowadzicie ich znowu. Wy dwoje, którzy złamaliście prawo! Jutro otrzymacie czas dla siebie. Przed ogłoszeniem wyroku będziecie mogli spędzić wspólnie dwa kwadransy. Będziecie się widzieć i rozmawiać ze sobą, wolno wam będzie dotknąć swoich twarzy, włosów i dłoni. Wreszcie, każde z was może przynieść dla drugiego podarunek. Potem ogłoszę wyrok. Kara was nie ominie. Będzie gorsza niż wygnanie. Takie jest moje słowo.

Jutro... pół godziny. Widok, słowa, dotyk... O, Bogowie, jakże wtedy był szczęśliwy, jakże wdzięczny sędziom za litość i łaskawość. Wtedy nie rozumiał, dlaczego tak postąpili, myślał, że to ostatni dar dla skazańców przed bezwzględny wyrok. Za ten prezent, za niespodziewane pół godziny z Maraeną gotów był błogosławić kapłanów do końca swych dni. Był głupi. Kapłani nic nie robili bez powodu.

Podarował jej kotka, małego, ciepłego, ze śmieszna plamką na nosie. Maraena dała mu medalion ze swoim hologramem. Nie mówili wiele. Siedzieli naprzeciw siebie na niewygodnych krzesłach, oddzieleni twardym blatem, pilnowani przez strażnika prawa. Gładził dłonie i włosy Maraeny, próbował zetrzeć z jej policzków łzy. Czuł zapach dziewczyny, ten sam zapach, który tak go oszołomił tamtej nocy.

Ostry dźwiękowy sygnał przerwał spotkanie. Ze stołu wystrzeliła w górę siłowa zapora, błyskawicznie mętniejąca i odcinająca dźwięki. Nim zamglona się ostatecznie, zdołał jeszcze zobaczyć, jak Maraena tuli do siebie Oronka i jak jej usta bezgłośnie wypowiadają imię: „Kazziz”. Potem wyprowadzono go na salę rozpraw.

– Moglibyśmy was wypędzić, wygnać na pustynię – mówił kapłan-sędzia. – Żaden uczciwy wyznawca Zwojów nie zarzuciłby nam okrucieństwa. Ale śmierć młodego grzesznika nie jest najlepszym rozwiązaniem. Grzech musi być ukarany cierpieniem, a wy tam, na odludziu szybko zginiecie. Kara musi być przykładem dla innych, a kiedy znikniecie z miasta, ludzie prędko o was zapomną. Zbrodnia domaga się zadośćuczynienia, a martwi nie będziecie mogli pracować dla dobra wspólnoty ani rozważyć własnych przewin. Dlatego mamy dla was inną karę. Karę, która nie pozbawi was życia, ale przyniesie ból i cierpienie, wskaże drogę innym, posłuży im za przykład dla innych. Mówiliście, że się kochacie. Wierzę wam i choć potępiam wasze uczucia, nie mogę wam ich zakazać. Powiem więcej, kochajcie się nadal, myślcie o sobie, snujcie marzenia, przypominajcie sobie wspólnie spędzone chwile, takie jak ta przed ceremonią. Daliśmy wam dwa kwadransy, byćście dobrze mogli zapamiętać swoje twarze, jeszcze raz wyznać sobie miłość.

Kazziz słuchał kapłana z osłupieniem. Widział, że wielu ludzi reaguje na przemowę z niepokojem, nie wiedząc, jak interpretować słowa sędziego. Czyżby kapłan błogosławił grzeszny związek, czyżby pozwalał tym grzesznikom trwać w obłudzie, czyżby dał im szansę wspólnego życia? Nagle Kazziz poczuł, że to wszystko może się zakończyć dobrze, że kapłani znaleźli w Zwojach zapisy pozwalające szczęśliwie wyjść z tej sytuacji. Ale kiedy spojrzął na sędziego – na jego łysą czaszkę, wąskie, przyczernione brwi, wygoloną brodę, pomalowane na złoto wargi – zrozumiał, że to tylko oratorska zagrywka, podstęp dający skazanym nadzieję, a przez to osłabiający ich odporność na rychły cios.

– Oto wasza kara! Miasto zostanie dla was podzielone na dwie części. W jednej będzie mógł przebywać Kazziz z Czystych, w drugiej Maraena z Posłusznych. Nie wolno wam się kontaktować, rozmawiać, widzieć, przekazywać listów, słuchać o sobie opowieści. Jeśli kiedykolwiek któreś z was zostanie przyłapane na próbie kontaktu z drugą osobą, ta druga osoba zginie. Będziecie tu żyć do końca waszych dni, pamiętajcie miłość, jej smak i barwę. Będziecie wiedzieć, że wasz kochanek jest tuż, tuż, za niewidzialną granicą. Lecz nie będziecie mogli się zobaczyć ani usłyszeć, ani dotknąć... Takie jest moje słowo.

Potem ich zabrali.

•

To stało się trzydzieści cztery lata temu. Myślał o niej każdego dnia. Nie ożenił się z wyznaczoną przez rodziców dziewczyną, bo jej rodzina zerwała zaręczyny. Niewielu ludzi utrzymywało z nim stosunki towarzyskie. Dużo pracował. Nie wiedział, co się dzieje z Maraeną, bo nie wolno mu było znać jej życia. Wiele razy chodził ulicami, blisko umownej granicy podziału miasta. Myślał, że może ona jest niedaleko: za rogiem budynku, na sąsiedniej ulicy, w przejeżdżającej kapsule transportowej. Ileż to razy chciał stanąć na

placu przed świątynią albo w pobliżu portowego doku i czekać na jej przybycie? Nigdy tego nie zrobił, nie śmiał narażać jej na niebezpieczeństwo. Trzydzieści cztery lata.

Mieli tylko kota. Zwierzak pierwszy raz przyszedł do domu Kazziza dwa tygodnie po procesie. Chłopak nie był nawet pewien, czy to Oronk, bo kot przemknął po ulicy wyraźnie czymś przestraszony. Potem zaczął przychodzić częściej. Szybko dostrzegł go ojciec Kazziza i natychmiast wezwał kapłana-sędziego. Schwytali kota, by sprawdzić, czy nie przenosi jakichś wiadomości. Kapłan, po krótkich rozważaniach i ponownej lekturze odpowiednich paragrafów kodeksu Zwojów, uznał, że prawo nie zabrania Kazzizowi zabawy z kotem. I tak

zostało – do dziś.

Młodzieniec rósł, dojrzewał, męźniał. Kot przychodził co kilka dni, zostawał parę godzin i znowu znikał w miejskich zaułkach. Kazziz nawet nie miał pewności, że zwierzak wraca do swojej pani. A jednak czuł to.

Gdy głaskał kota, w ciepłe jego ciała, w pomruku zadowolenia, w przyzwalającym na pieszczoty wygięciu kręgosłupa odnajdywał ciepło i łagodny dotyk dłoni Maraeny. Czym był ten kot, posłaniec bez wieści, nosiciel bez wszczepu, pocieszacz bez współczucia? Błogosławieństwem, które pozwala pamiętać? Czy przekleństwem, które nie pozwala zapomnieć? Czym był przez te wszystkie lata dla ciebie, Maraeno...

•

Kot cicho zapiszczał. Otworzył powieki, zmętłymi oczami spojrzął na Kazziza. Kilka razy uderzył ogonem o postanie, jakby napinając mięśnie do wysiłku. Wreszcie sapnął i spróbował się podnieść. Nie wyszło to najlepiej, nogi rozjechały się pod nim, łeb opadł na poduszkę. Jednak Oronk nie dał za wygraną. Szarpnął się jeszcze raz, zsunął się z postania i stanął na chwiejnych nogach. Chwilę patrzył na Kazziza. Mężczyzna ukląkł przy kocie, chciał go wziąć na ręce, ale zwierzak odrzucił pomoc – zrobił krok, potem drugi. Sapnął głośno, może z bólu, a może dla dodania sobie otuchy.

Kazziz pogłaskał go po grzbiecie, ledwie muskając zmierzwione futro, bo bał się przewrócić kota lekkim choćby dotykiem. Oronk znów miauknął, a potem ruszył w stronę uchylonych drzwi. Kazziz, wciąż klęcząc, patrzył za nim ze zdumieniem.

„Czy idziesz do niej? Czy zdołasz tam dotrzeć? Czy dasz się jej pogłaskać jeszcze raz? Pewnie ostatni raz, bo nie wątpię, że wyężasz teraz ostatnie siły swego organizmu. Proszę cię, kocie, wytrwaj, bardzo cię proszę, kocie, ten jeden ostatni raz... Żegnaj, kocie. Żegnaj, Maraeno...”

Kot człapał niezgrabnie, wlokąc ciało wcale nie po kociemu. Kiedy spróbował podbiec, o mało się nie wyrócił. Wyszedł z pokoju przez uchylone drzwi. Po chwili Kazziz zobaczył przez okno, jak wolno idzie wzdłuż otaczającego dom płotu. Kiedy zniknął w jakiejś dziurze, mężczyzna długo jeszcze stał w oknie i zdejmował z dłoni klaczki miodowosiwej kociej sierści.